

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu piśmie petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. step. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedyt wksię. garni H. W. Kallenbacha.

DZIWÓ - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XV.

(Ciąg dalszy.)

Na przyjęcie tego gościa powstała pani marszałkowa z kanapy i uczyniwszy krok przeciw niemu, rzekła prawie z radością:

— Ah! to pan rzeczywiście!

— Tak jest, — odpowiedział na to w języku francuskim, kłaniając się Kamil, — ja to jestem, którego pani zapewne niespodziewałaś się widzieć dzisiaj u siebie...

— Nie spodziewałam się nigdy, — przerwała stojąc zawsze na przeciw niego gospodyni domu, — chociaż tak często o tem marzyłam... Nie miałam nawet żadnego prawa do tego... Ale kiedy pan sam mnie nakoniec uznałś godną tej łaski, pozwól-że przedewszystkiem, ażebym ci za nią szczerze i z prawdziwą wdzięcznością podziękowała. Widzieć pana i widzieć go z własnej chęci odwiedzającego mnie niegodną grzesznicę, było mojem najgorętszem i jedynem już może w tem życiu pragnieniem... bo wiem to, że łatwiej jest uzyskać przebaczenie u Boga, niżeli je wyzbrać u ludzi...

— Jeżeli to przebaczenie zależało odemnie, — mówił dalej półgłosem Kamil oglądając się po salonie, — to mogę panią zapewnić...

— Niech-że ci pan Bóg stokrotnie nagrodzi twoją dobroć, przechodzącą wszelkie granice, — przerwała prędko marszałkowa, podnosząc ręce z powagą do góry i natychmiast dodała, — ale proszę pana na chwilę do przyległego pokoju...

To mówiąc, przeprosiła swych gości, że się od nich oddala i sama idąc naprzód, zaprowadziła Kamila do przyległego pokoju, w którym był mały ołtarzyk pod oknem i którego wszystkie ściany były obwieszane obrazami świętych pańskich i pokutników.

Inni goście byli-by wyszli nstychmiast przez delikatność dla gospodyni i gościa, ale ci wszyscy nietylko że zostali, ale pozwolili sobie nawet przystąpić w całej masie do drzwi i podsłuchiwać, co tam mówiono. Jakoż rzeczywiście słyszeli oni część większą rozmowy, szkoda tylko,

że nie znając dawniejszych wypadków, nie mogli jej całkowicie zrozumieć.

— Ja rzeczywiście przychodzę do pani, — mówił Kamil głosem surowym, — ażeby jej podziękować za jej starania około mojej wolności powrotu do kraju. Byłbym jej nigdy nie uzyskał, gdyby nie pani — i za to jej winienem podziękować. Występku pani, popełnionego na mnie, nigdy jej nie pamiętałem. Występek ten popełniłaś pani li dla siebie i dla św. pamięci swojego brata...

— Ah! nie wspominaj pan o tem! — zawołała marszałkowa, twarz zasłaniając rękami.

— Mnieś nim nie sprawiła nic złego, — prowadził dalej Kamil, nic nie zważając na słuchającą, — owszem nawet występkiem tym wyrwałaś mnie tylko z tego piekła, w którym bez nadziei jęczałem, i występkiem tym zniewoliłaś mnie do stanowczego w owej chwili a może najważniejszego kroku w mem życiu, do ujęcia za granicę... Występek więc pani był względnie mnie tylko fundamentem założonym do dzisiejszego wyswobodzenia mego, którego inaczej może nigdy-bym był nie dostąpił. Jeżeli tedy chodziło o przebaczenie z mojej strony...

— Niech-że ci pan Bóg stokrotnie nagrodzi! — odezwał się na to głos marszałkowej.

— Ale ja oprócz tej wdzięczności, — mówił dalej Kamil, — mam jeszcze i prośbę do pani.

— Wszystko, wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

— To jest rzecz drobna. Proszę tylko pani, — tu głos mówiącego podniósł się o jeden ton wyżej i zaczął drżeć od wzruszenia i żalu, — ażebyś powiedziała Adeli że miłość ta, którą miałem dla niej natenczas, kiedy i ona mnie także kochała...

— I ona pana kochała! — zawołała na to z zdziwieniem i niedowierzaniem ciotka Adeli.

— Tu masz pani dokument, — rzekł na to porywczoko Kamil a razem z jego głosem dał się słyszeć szelest papieru, — możesz się pani przekonać. Nosilem go przez lat dziesięć na moich piersiach a teraz — oddaj go pani także Adeli...Lecz przy tem racz jej pani powiedzieć, że tę miłość dla niej przeniosłem przez wszystkie moje męczoności i bole, przez wszystkie zawieruchy umysłu, wszystkie zawody, i przeniósłem ją całą, nieskalaną i świętą, jaką ją miałem w mem sercu w pierwszych dniach naszego poznania. Teraz, obalony na duchu krwawymi doświadczeniami rzeczywistości, zwichniony w gruncie mo-

jej moralnej posady, zawiedziony we wszystkich najpiękniejszych nadziejach... kiedy jeszcze z tych klęsk okropnych wyniosłem siły moje, majątek i czystość uczucia, przybiegłem tutaj czempredzej, ażeby jej do nóg rzucić to wszystko i przy jej miłości i szczęściu przeżyć resztę dni tego nędznego życia. Przybiegłem — i doświadczyłem jeszcze ostatniego zawodu. Powiedz jej pani, że ona sama oplwała jadem to ostatnie moje uczucie, ona sama swojemi plugawemi czynami ostatnie światełko mego życia zgasła... powiedz jej pani, że ją widziałem wczoraj, że skamieniałem na widok jej twarzy pijanej, i że ją przekląłem na wieki!.. To cała prośba moja do pani.

Po tej apostrofie, od której zadrżały wszystkie ściany salonu i wszystkie serca słuchaczy, drzwi się otworzyły z łoskotem i ów straszliwy Karbonaryusz, przebiegłszy prędko przez salon, zniknął gdzieś w przedpokojach.

W kilka minut potem pani marszałkowa powróciła nazad do swoich gości. Miała ona twarz zupełnie spokojną, wzrok czysty, głos pewny, zgoła jak gdyby nie nigdy nie było. Jakoż zabrała ona natychmiast swe dawne miejsce, prosiła gości, ażeby napowrót stół przed kanapą obsiedli i widząc z ich twarzy ciekawych, że niepodobna-by była mówić w tej chwili o czem innem, jak o świeżo-co zaszłem zdarzeniu, poczęła sama coś opowiadać o Kamilu. Wypytywana ciągle i natarczywie przez swoich niezmordowanych słuchaczy, opowiadała potem bardzo zajmująco i długo, i wszystko o panu Kamilu, ale wszystko w ten sposób, ażeby nietylko żadnego prawdziwego szczegółu nie odkryć, ale nawet ażeby wszelki ślad prawdy zatrzeć — każdy domysł prawdo-podobny już naprzód odwrócić.

Na drugi dzień rano tysiąc wieści o Kamilu, Adeli i Edmundzie rozbiegło się po mieście, wieści rozumie się takich, z których żadna nie była podobna do drugiej, a wszystkie razem tak dalekie od prawdy jak niebo od ziemi.

Atoli dnia tego samego jeszcze, jak tylko pani marszałkowa wróciła z niesporów i nie miała tylko dwie dewotek i pana Eligiusza u siebie, — weszła do jej salonu Adela.

Jak wyglądała teraz po dziesięciu léciech życia i jakiego-to życia, ta pani, opowiemy to później z wiarygodniejszych źródeł, bo teraz siedzimy jeszcze w brzydkim i zadusznym warsztacie plotek, w którym nawet prawdy same wyglądają jak plotki i z którego radzi-byśmy się jak najprędzej wydobyć. Nadmienimy więc tylko, że Adela była dziś smutna, zamyślona, ponurą, co się jej nigdy lub bardzo rzadko wydarzało dotychczas i czego natychmiast dostrzegła jej ciotka: bo zaledwie słów kilka z nią wymieniła, zaraz tak samo jak wczoraj z Kamilem, wyprowadziła się z nią do przyległego salonu.

I tak samo znów pan Eligiusz na czele dewotek podluchiwał ich rozmowę z poderzwi, ale niestety! nie wie-

le mógł z niej dosłyszeć. Rozmowa bowiem odbywała się prawie półgłosem i zaledwie to można było z niej wyrozumieć, że Adela czyniła przed ciotką jakieś bardzo serdeczne zwierzenia, że się skarżyła na coś, że narzekała nawet płakała.

— A widzisz! — mówiła na to urywkami jej ciotka a w jej głosie przebijało się więcej tryumfu niżeli politowania, — jam ci to zawsze przepowiadała... we wszystkim trzeba zachowywać pewne granice... osobliwie w nadwężaniu fortuny... bo fortuna jest główną podstawą naszego znaczenia, swobody, życia. Za piękne imię, za familijne relacje, za dobrą sławę nikt grosza dziś nie da; patrzaj na moje dewotki: wiele tu imion, wiele pokrewieństwa z najpierwszemi domami, wiele cnót zresztą i innych najlepszych przymiotów a pomimo to jakież koniec ich życia? oto polityczne żebractwo! a czemu?... nie trzeba ci to powiadać.

Adela głośno się rosplakała; na to znów marszałkowa:

— A widzisz! lży teraz przedemną! czyż ci nie powiadałam, że na tem się skończy?... a ja już nic teraz pomódz nie mogę. Moje życie poświęcone jest Bogu, o ludziach nie wiedzieć nie chcę i nie mogę. A choćbym chciała, to cóż-bym była w stanie uczynić dla ciebie, kiedy sama, rozdawszy wszystko na jałmużny i na kościoły, zaledwie mam tyle, że się z oszczędnością wyżywić mogę. Trzeba było słuchać rady mojej, to byś była dzisiaj nie potrzebowała mojej pomocy. Dziś, cóż pomogę? Tyle długów a na nie tylko tych parę wiosek górskich, pozostałych po ojcu!... Trzeba było korzystać ze szlachetności Edmunda i przy podziale majątku wziąć te trzy wsie za wspólne pieniądze kupione, które ci całkiem oddawał. A kiedyś tego nie chciała, trzeba pójść było za pana Ignacego, chociaż już był podstarzały, albo za pana Michała, chociaż był ułomny, bo obadwa byli bogaci. A kiedyś się już na żaden sposób bez tej nieograniczonej wolności obejść nie mogła, toż trzeba było żyć z kredką i główką i długów nie robić. Dziś, kiedy wszystkie struny popękały z kolei, jakież być może ratunek?...

— Ach! jeszcze wczoraj miałam sama ratunek w mem ręku, — mówiła z płaczem Adela, — i gdyby nie ta nieszczęsna reduta...

— A widzisz! — przerwała znów marszałkowa, — i tom ci przepowiadała... bo we wszystkim trzeba być bardzo ostrożnym, a osobliwie w używaniu przyjemności życia. Wszystko można zrobić, ale na co te ostentacje?... na co brawowanie opinii?... A on dziś taki bogaty!... Plotki różne chodzą po mieście, ale ja wiem z pewnością, że ma bardzo dużo pieniędzy... pewnie z milion, to najmniej... mieszkał przez lat kilka w Marsylii, miał związki z handlowemi domami całego świata, grał na giełdzie w Paryżu... gdyby nie ta niepotrzebna brawura, która cię zapro-

wadziła na wczorajszą redutę, to ratunek był-by już był w twojem ręku.

— Ach! Boże! jam go tyle kochała! — zawołała z westchnieniem Adela, — a com była w stanie uczynić dla niego, to przecież wyraźnie stoi napisano w tym liście, który mi ciocia dziś odesłała.

— A prawda, prawda, — odpowiedziała na to jej ciotka, i chociażby nic'ęś nie uczyniła dla niego, jednak już ta sama chęć twoja zasłużyła na nagrodę z jego strony. Popsułaś wprawdzie wszystko wczorajszą redutą, ale.... ha! obaczmy jeszcze. Pan Bóg jest niewyczerpany w swem miłosierdziu... mężczyźni, kiedy są zakochani, to strasznie głupie stworzenia... może się z tego da jeszcze co zrobić. Ot! wiesz co, ja zaproszę tu Eligiusza, opowiemy mu rzecz całą... to człowiek niezmiernie sprytny, on już nie takie intryki prowadził i doprowadził szczęśliwie do końca. Cóż mówisz na to?

— Ja się zdaję na ciocię, — zakończyła z głośnem westchnieniem Adela, — niech się już dzieje co chce...ja nie mam już nic do stracenia!...

W tej chwili zaproszono Eligiusza do przyległego salonu. Jak tylko wszedł, obydwie kobiety zaczęły mu opowiadać na przemian jakąś długą historję. Trwało to z pół godziny, pan Eligiusz wypytywał się o wszystkie najdrobniejsze szczegóły, z taką troskliwością i sumiennoscia, jak lekarz nawiedzający po raz pierwszy chorego, z tych szczegółów niektóre przyznawał, drugie poprawiał, trzecie całkiem zaprzeczał, i w ten sposób wyrozumiawszy tę całą tajemnicę gabinetową do gruntu, tak ją zakończył:

— No! mówił on, ściskając pulchną rączkę Adeli, — nie frasuj-że mi się pani hrabina tak bardzo. Zrozumiałem ja już teraz dokładnie, co się stało i co jest pani życzeniem na przyszłość i najpierwej muszę panią zapewnić, że z szczerego serca tym życzeniom wtóruję. Na tem należałoby pani koniecznie zakończyć. Człowiek bogaty, kochający, nie bardzo młody, wszystko to są dla pani hrabiny jak najpożądane przymioty. Czy się to uda, nie mogę z góry zaręczyć, bo domyślam się, jakiego-to rodzaju człowiek jest ten pan Łaski, a tacy ludzie bywają uparci, jak kozły i przywidzienie swojego rozumu gotowi zawsze wszystko poświęcić. Ale ten człowiek widać także ma serce, a w tem sercu jest miłość, i ta sama miłość jest w jego głowie... a ponieważ tak jest, więc śmiem sobie tuszyć jak najlepsze nadzieje. Będziemy tedy robić wszystko, co będzie można a nam można wiele, daleko więcej jak wszystkim innym. Prowadzenie tedy tej sprawy przyjmuję śmiało na siebie...

— Tylko proszę cię, panie Eligiuszu, — przerwała mu marszałkowa, — nie rób nic bez mojej rady.

— Ach! to się samo przez się rozumie, — zawołał na to Eligiusz, całując rękę gospodyni domu, — pani dobrodziejka będziesz kierować wszystkim a ja tylko będę

posłusznem w jej rękach mistrzowskich narzędziem. Tę wszakże śmiem zrobić pani hrabinie uwagę, mówił dalej Eligiusz, obracając się do Adeli, — na co się pewnie zgodzi i pani marszałkowa dobrodziejka, że musimy wtej sprawie postępować bardzo pomału i bardzo ostrożnie, bo zepsuć nie trudno a jak raz się zepsuje, to już potem nikt nie naprawi, więc się na to pani hrabina przygotuj, że stosunek dzisiejszy się nie odmieni ani dziś ani jutro; ale... jeżeli pan Bóg łaski swej nie odmówi, to prawie pewien jestem tego, że nim jesień nadejdzie, srogi ten Karbonaryusz będzie leżał u nóg pani hrabiny i ze łzami w oczach całował te śliczne rączki które ja teraz całuję.

To rzekłszy, ucałował z obleśną lubieżnością rączki piękne ręce Adeli, — i na tem skończyła się ta wielka konferencya tych małych ludzi w tej wielkiej sprawie.

Na tem też także kończą się wiadomości, których powieść nasza zaczerpuje z tego brudnego plotek miejskich warsztatu, — poczem już możemy przejść sobie swobodnie do dalszego opowiadania wypadków, wzorowanych prosto ze sceny rzeczywistego życia i niepotrzebujących żadnego wkręcenia się w miejsca, salonom marszałkowej podobne, żadnego podsłuchiwania pod drzwiami, żadnych zasłon, domysłów, pół-światel, pół-cieni i plotek.

(C. d. n.)

Z POEMATU: ŚPIEWAK Z OAZY.

(Ciąg dalszy).

Starzec skończył pieśń, ucichł, za odgłosem w dal,
Jako połysk księżycy na tle modrem fal,
Kiedy ranne tam na wschodzie uśmiechna stę zorze,
I w różowe fałdy stroją dumające morze.

Czasem jeszcze echo brzęknie, niby pszczołek rój,
Beduinów duszę porwał wrzących uczuć zdrój,
Oni jeszcze pieśń boleśną w głębi serca słyszą,
Choć pustynia w krąg oddycha porankową ciszą.

A myśl młoda uleciała niby rajski ptak,
Kędy w niebo oznaczyły dźwięki jasny szlak,
I kołysze się swobodna na marzeń postaniu,
Potem wraca duszę topić w cichem zadumaniu.

A tam w dali Arab stary, drzący, błądy stał,
I śpiewaka ócz spokojnych on się lękać zdał.
Czasem usta zaciął w guiewie, szablę w ręku ścisnął,
A oczyma niby tygrys czyhający błysnął.

Znowu zadrzał ha! a z oczu obróconych w sęp,
Bije rozpacz — on sam straszny, jak mara, jak trup.
Chwyta handżar, ręka spadła, on się waha w czynie,
A przez usta wpółotwarte cicha kłątwa płynie:

«Azraelu! Daj mi siłę! patrz! dobyty nóż!

»By utonął po rękojeść w pogotowiu już!

«Wnet uderzę! — chwilę tylko niech mi niedrzą dłonia

»Nie! niemogę! pieśń przeklęta, przepala mi skronie.

Cicho! cicho, po oazie płynie jakiś gwar;
A na wschodzie tam poranek rozlał jasny żar.
Beduini ze śpiewakiem modlą się w pokorze,
Jeden tylko Arab stary modlić się nie może.

Lecz już duszę stłumił dziką, wygnał z myśli szal,
I w półse...nem zadumaniu na uboczu stał,
Kiedy młodzi śpiewakowi za pieśń dziękowali,
I rumaki do podróży co rychlej siodłali.

Odjazd.

Na wschodniej stronie zielonej oazy,
Stoją z kamienia kute drogoškazy,
Z mogiły piasku wyciągają szyje,
Skronie i lica zimny turban kryje,
A gdy w pustynie noc cienie rozścieli,
One się zdają jak olbrzymy w bieli,
Którym przyrody siły tajemnicze
Trupią bledością pokryły oblicze.
Próżno ich Arab o los bliaci bada,
Głos mu słów jego echem odpowiada.

Tu śpiewak żegnał Arabów drużynę,
Czas, czas odjeżdżać, w poranną godzinę
Nie tak skwar pali, i rumak też śmieiej
Przemknie przez błonia piaskowej pościeli.
Więc do odjazdu stary Arab spieszy,
Lecz śpiewakowi smutno odejść rzeszy,
Trudno się rozstać, on im serce zwierzył
To jakby z nimi całe życie przeżył.

Jeszcze ostatnie: niech prowadzi Alla,
I błogosławi w podróży hassala!
Już idą w pochód! Ha czekajcie, w dali
Jacyś się jezdcy nagle ukazali,
Trudno ich poznać, zatrzymać się można,
Może to zbójców drużyna bezbożna.
Wybiegła w puszczę potoczyć oczyma,
Czy bliska zdobycz i gdzie się zatrzyma?

Czekaj! — chwila, zadrzał Arab stary,
I beduini pobledli jak mary,
Kto są ci jezdcy? już hassale wiedzą!
«To Hassanowi, naszą drogę śledzą:
«Patrzcie już naszą drużynę postrzegli,
«Ho! ho jak rychło do kupy się zbiegli,
«Nie ma co chwili, na ezcze słowa tracić,
«Dziś zadawniony musim dług zapłacić.»

A śpiewak w trwodze nieodstąpił rzeszy,
On ze słowami do Araba spieszy,
«Patrz! rumak luźny wasze juki dźwiga,
«Jego dosiędę, kiedy wróg was, śeiga,
«Przyda się w walce jedno ramię stare,
«Wszak ja nie zawsze pieściłem gitarę!»

«Kto wam tu wrogiem, i mnie wróg zacięty,
«Bo gości bromé każe koran święty!»
I wziął szablicę, co była w zapasie,
I zwinął lekko jak skrzydełko ptasie.

Pękły cięciwy, pierzchła ostra strzała;
Wrogów od wrogów dzieli przestrzeń mała...
Wpadli jak Samson, — już i walka wszczęta,
Jak złość szatanów dzika i zacięta;
Koniec niepewny, bo jednaka siła,
A serca dzikie zemsta zapaliła.

Z kłębow kurzawy kopytami zbitej,
Połyśnie czasem handżar krwią okryty,
I niknie w pyle z dzikich przekleństw słowy,
Usłać dla kogoś mogiłek stepowy.

(D. n.)

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

I. J. Kraszewskiego. — 4 Tomy.*)

(Dokończenie).

Szarski jak padł na krzesło tak siedział nieprzytomny,
a lzy mu ciekły po twarzy... Upijał się widokiem Sary.

— Słuchaj Stanisławie, rzekła budząc go dotknięciem izraelitka, sucho, chłodno, zimno; opamiętaj się, przyjdź do siebie, miej rozum; tyś zawsze dziecko—ale czas wyrosnąć z tego; widzisz jak mnie to męczy, duszę mam dramatów na teatrze! Mówmy chłodno, mówmy rozumnie... możesz mi zaszkodzić swoim szaleństwem! Słuchaj, dodał z niecierpliwością prawie, Sara nie jest tem czem była; zapomnij o dawnej Sarze! Wiek i życie odmienia; nowe się coraz budzą żądze, nowe pragnienia i potrzeby. Kapłanka poezji i piękności nie może znieść nędzy i niedostatku; ja potrzebuję zbytku, pieniędzy, złota... i swobody, która się za nie kupuje! Ja kocham wszystko piękne i co mnie piękną czyni; potrzebuję darow i dani całego świata na moje rozkazy! ja muszę żyć w tych złotych ramach, bez których nie pojmuję życia... Muszę być panią i sypać złotem do koła. Życie w nędzy, w wyrobnictwie, w trosce o jutro, nie dla mnie; musiałam skosztować bogactwa i mam je nareszcie. — Sprzedałam się; wszyscy się sprzedają.

Staś w boleści chciał wymówić przekleństwo....

—Ja się gniewać na ciebie nie mogę, rzekła izraelitka; przyjmę co powiesz, zboleję może, zniosę wszystko, jestem zaprzędaną, jestem kochanką tego człowieka, prawda, ale przedaj tę podłą uszlachetnia coś Stanisławie: na jego widok serce bije—ja go kocham. — Chciałbyś przez zemstę, przez to uczucie zwierzęce popsuć jasne dni moje.

— A! dni jasne za tobą, wyrzekł łkając Szarski — szukaj ich w twojej młodości, wówczas gdyś dzbanek, w który może łaza spadła, niosła na strych biednemu sierocie. To były jasne dni twoje...

— Piękne to dni były, szepnęła Sara, ale nam ich nie powrócić. Każden wiek ma swoją szczęścia godzinę, a każdy inną; tamto było szczęście dziewczęcia, to pragnieniem kobiety.

*) Z Gazety Warszawskiej.

Sara chciała rozbić wszystkie jasne marzenia poety, odczarować ze złotych złudzeń jego, wyrugować z pamięci przeszłość. Wypędzała go: Idź—idź — mówiła, ty nam przeszkadzasz, a on chciał na nią patrzeć i myśleć o tem co było dawno—dawno, pod strychem, w brudnej izdebce żydowskiego domostwa, — Księżę prosił Szarskiego żeby został. — Więc mi pozwalasz patrzeć na nią, zawołał z wdzięcznością Stanisław.

— Ale mój drogi panie, odparł księżę ruszając ramionami, nie przypisujże mi dziwnej jakiejś zazdrości, któraby mnie tylko śmiesznym czyniła. Któż zazdrośnym być może...—tylko co nie dodał—o aktorkę której płaci.

Szarski zabijał się tym widokiem; wypędzony przez Sarę, biegł na teatr, chodził pod oknami jej mieszkania, byle ją tylko widzieć, swoją Sarę—swoją idealną.

Ale życie uchodziło tymczasem jak woda z pękniętego naczynia. Przyjaciele Szarskiego, widząc jak choroba niszczyła go, wywieźli poetę za miasto, do futoru w lasku, gdzie do małego domku przewieźli pierwiej jego książki, jego papiery, manuskrypta i t. d. Tu odwiedzał go codzień Dr. Brant i tam przeniosła się do pobliskiego domku Marylka ze swoją matką. Nic ją nie mogło od tego odciągnąć, darmo matka perswadowała córce że się gubi, darmo przekładała co na to ludzie powiedzą. — Powiedzą że go kocham, odpowiedziało dziewczę, a ja się z tem nie myślę ukrywać.

Poeta konając śpiewał jak łabędź; pisał, tworzył; jak lawa gorące lały się z jego serca na papier uczucia, myśli, a krew rzucała się z piersi rozbitej życiem jak statek falami morza.

Marylka pilnowała chorego, otaczała go miłością i staraniem matki, siostry, kochanki. Czytali razem, mówili z sobą; albo wsparty na poręczy krzesła, z którego ruszyć się nie mógł, poeta marzył z Marylką o cichej ustroni na Litwie, wśród lasów, co tak słodkim szumem do snów kołyszą, wśród błot, tysiącem ptastwa odzywających się. I był w marzeniach ich dworek nawpół ukryty w borkach, ławka pod lipą starą i słowik w leszczynie, tęskne szczęście jakieś, kołyszące serce zranione.

A śmierć zbliżała się coraz. I usta już mówić nie mogły i oczy sen przymykał, a jeszcze marzyli we dwoje i coraz bardziej odpychali godzinę oswobodzenia.

A tymczasem wieść o gasnięciu poety rozeszła się po mieście. Sara wbiegła raz do mieszkania Branta, ale poczciwy lekarz postrzegłszy ją odwrócił się od niej. Izraelitka porwała go za rękę: powiedz mi, zawołała z rozpazą, co się z nim dzieje? Brant wyrwał rękę i odstąpił od niej wskazując jej drzwi w milczeniu. Izraelitka rozśmiała się boleśnie, okropnie i zasłoniła sobie oczy.

— Słuchaj, zawołała przerywanym głosem—ty jeden panie musisz wiedzieć, że nie jestem potworą. Widziałś co się działo ze mną, jak los miał i kołatał nieszczęśli-

wą! Chciałżeś żeby mi się oddała, niegodną się czując tej czystej miłości, bym złote skarby jego zapłaciła mu miedzią zardzewiałą? Nie! nie, tegom uczynić nie mogła; na to oszukaństwo wzdrygało się serce moje! Ja go kocham; ja szaleję z boleści, jam umyślnie wiozła ze sobą kochankę, by go od siebie odstręczyć, by do mnie przystąpić i skalać się nie mógł, by stał jak widmo pomiędzy nami.

— Kobieto! aleś ty go zabiła! krzyknął doktor.

— Zabiła! — powtórzyła ręce łamiąc Sara — jam go zabiła!

— On kona, on umiera z twojej przyczyny...

— Umiera! tymże dziwnym głosem powtórzyła izraelitka.

— Umrze! zawołał doktor. Dziś, jutro, nie wiem kiedy, ale śmierć wisi nad nim niechybna.

Kobieta spuściła głowę jak skazany na ścięcie.

— I ja umrę — rzekła po cichu — i ja umrę!

Po chwili podniosła głowę. Ale gdzież on jest. Co się z nim dzieje? Wywieźliście go ra wieś? Kto z nim jest? Jest pewnie ta., ta...

— Jest — szybko przerwał doktor, chcąc nie miłą skończyć rozmowę; — i on ją kocha, ale ta miłość prędzej mu tylko dziś grób przyspieszy...

— On ją kocha? Nie! on jej nie kocha — przerwała Sara — on kochać nie może.

Brant wzruszył ramionami.

— Nie chcę go widzieć — mruknęła Sara — nie chcę mu zatruwać chwil ostatnich; niech mu upłyną tak słodko, jak te których ja wspomnienia w sercu noszę; ale na Boga — doktorze, gdybym choć raz jeszcze ukradkiem choć spojrzeć nań mogła, choć wzrokiem zdala pożegnać.

A na futorze poeta dogorywał. — Raz sługa zadyszany przybiegł do matki Marylki i do niej samej, wołając je do chorego. Stanisław był wzruszony; pot zimny oblewał mu czoło, usta drżały spalone co chwila brocząc się krwią spiekłą.

— A dobrze żeście przyszli! zawołał żywo odwracając się od okna — straszne bo, straszne w samotności miałem widzenie... Zbłąkana wyobraźnia przedstawiła mi marę... okno było otwarte... w jego oświeconych ramach zjawiała mi się jakaś postać w bieli... O! znam ją dobrze! To postać umarłej — istota z przeszłości... Stała nademną, błagająca, straszna.. nieszczęśliwa, drżąca.. i wołała, tak słyszałem, wołała, — przebaczenia! Słyszałem głos jej, widziałem twarz trupią... Al to okropne zjawisko! Wołała głosem stłumionym: przebacz katowi twojemu, jak Bóg twój na krzyżu oprawcom swoim przebaczy! i dreszcz mi przebiegł po skórze i włos się najeżył na skroni i krew buchnęła ustami gdym chciałem wymówić słowo przeznaczenia..... krwi tej struga wylała się zamiast wyrazu liłości... a widzenie znikło.

Stanisław wyciągnął rękę ku Maryi.

Teraz, rzekł, czuję iż umrę w prędcie — śmierć przychodzi. — A ty mi przebacz także, aniele; jam się na tobie nie poznał, jam tobie życie zakrwawił, jam cię za późno pokochał! Byłem ślepy, obłąkany, byłem nieszczęśliwy. ale życie tak krótkie, a Bóg tak dobry i wielki.

Zdało się, jakby w tej chwili szelest jakiś dał się słyszeć za oknem, jakby coś padło, coś jęknęło, a chory przeleżał, chciał porwać się z krzesła, gdy Brant wpadł do izdebki.

— Co to jest? co to jest? — spytał.

— Nic — umieram tylko — odpowiedział chory spokojnie, pokazując mu ehustkę krwią zbrozoną.

Chcąc spocząć, rzekł po cichu, podając znów rękę i chwytając dłoń Maryi, na której, przyciągnąwszy ją powoli do siebie złożył gorący pocałunek i łzę górętszą jeszcze. Ona upadła na kolana bezsilna, ale rychło dźwignięta poświęceniem, powstała by usiąść, przy nim.

— Uspokój się — rzekła z cicha.

— Usnę — odpowiedział skłaniając głowę; w milczeniu usypiać się zdawał — ale był to uścisk anioła śmierci.

Długo w rocznicę śmierci poety, kobieta w bieli płacząc, zawieszala na grobie poety wieniec z nieśmiertelników — była to Sara.

Płyną wody potoku, pamięć nie w naszej mocy.

Marylka płakała, żalowała, powoli żal się uśmierzył i choć nieustał, pokryła go mgła oddalenia. Marya poszła za męża i dziś jest najprozaiczniejszą z matek rodziny, najlepszą żoną i zawodaną gospodynią.

Bazylewicz wydał kompletne dzieła poety, napisał łzawy nekrolog i uchodzi za najserdeczniejszego przyjaciela zmarłego. Gotuje drugą edycję dzieł Szarskiego z biografiją i portretem.

Takie jest życie nasze! Idea wyraźnie odbija się w dziele naszego poety i wcale nie potrzebuje komentarzy recenzenta. Kilka razy wystawiał on już żywot poety, którego marzenia przerastają rzeczywistość — w Poecie i Świat Gustaw kończy kuflem: w Sfinxie bohater zamyka się w klasztorze; w Jarynie występuje poeta w życiu, tu śmierć kończy walkę.

Oprzedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Na dobrą sprawę zatem, trzeba by, może dorabiać, przerabiać Lindego, nie zaś przedrukowywać go żywcem. Ale wszystkie te dodatki i poprawy powinnyby wejść w tekst, w samo dzieło, nie zaś służyć mu za tom przydatkowy, za przyczepkę. Nie lubim żadnych przyczepek, chyba z konieczności i jakże tu pogodzić się z dopełnieniami Lindego, które nie będą częścią jego słownika, a przecież stanowić będą część integralną dzieła drukowanego teraz we Lwowie? Nie mówi się tu już o niewygodzie czytelnika, że raz wraz książkę przewracać musi i jednego wyrazu szukać w dwóch,

trzech różnych miejscach, i nareszcie nie być pewnym, czy wyraz jaki jest w dziele czy go nie ma (tak np. w dopełnieniach Niesieckiego lipskich nie każdemu w chwili poszukiwań przyjdzie na myśl, że o jednej i tejże samej osobie, już nie o rodzinie, może być mowa w dwóch oddzielnych tomach,) ale tu już mówim o systematyczności dzieła. Każde nowe wydanie starej książki powinno być dokładniejsze od poprzedniego wydania, inaczej celu chybi a wydawcę lub autora sprawiedliwie oskarżać można o nieznamość rzeczy albo obojętność. Linde sam w sobie jest całością. Linde zaś z dopełnieniami wydany, będzie i nie będzie sobą; będą to dwa dzieła, a może ich więcej, stosownie do liczby pracowników użytych do tych dopełnień, a nie jedno, będzie to nieład w systemacie, systemat w nieładzie. Wszelkie dopełnienia Lindego powinnyby wejść, powtarzamy do jego słownika nie jako dopełnienie, ale jako część samego dzieła, winnyby z bogacić tekst. Ale te dopełnienia mają być wtedy systematycznie robione. Trzeba wybrać komitet ludzi, którzyby rozumieli potrzeby języka i znali się na słownikarstwie, ludzi specjalnych, którzyby jedni naukowe, drudzy prowincjonalne słowniki układali. Roboty takiego rodzaju nie jest na miesiąc, nie na rok nawet, ale na lat kilka. Ztąd kiedy kto chce wydać Słownik Lindego, ale cały tak jak dziś język stoi, ten nie może zaraz brać się do pracy, bo i druku, drugiego dnia jak myśl się w głowie urodziła. Wydawcy bowiem dadzą nam, spodziewamy się, dodatki do Lindego w osobnym dodatkowym tomie, a więc dodatki te będą byle jak skłcone na pierwszą rękę i znów całości nie wyczerpną.

Pamiętajmy jednakże o różnicy czasów jaka zachodzi między początkiem wieku naszego, a drugą jego połową; pamiętajmy, że jeżeli dawny Linde nie domyślał się jak wiele jego Słownikowi brakuje, nowemu Lindemu zrobią sprawiedliwy zarzut, że z wiedzą grzeszył.

Właśnie w obecnej chwili w cesarstwie Rosyjskiem wiele krząta się około słownika języka ruskiego, ze wszystkimi jego narzeczaniami. Nad tem zadaniem siedzą już ludzie specjalni, uczone komitety i całe towarzystwa, pracują wszyscy od lat już wielu (od sześciu, siedmiu lat gorliwiej jak zwykle, a liczba pracujących o ile można sędzić tutaj, do kilkudziesiąt dochodzi.) Owoce tej ciężkiej, mozolnej pracy widać, bo raz wraz akademii nauk ogłasza w swoich wydaniach materyały do słownika ruskiego. Akademia nauk w swoim „Wiadomościach“ (Izwestjach) które peryodycznie wydaje, utworzyła osobny nawet oddział materyałów językowych. Materyały te drukują się już w kształcie słownika.

Prace systematycznie bardzo podzielone. Jeden szuka wyrazów w mowie ruskiej tatarskich, drugi mongolskich (Kowalewski), trzeci samskryckich, inni wszelkich wyrazów obcych, które się z jakiegokolwiek języka dostały do ruskiego. Dubrowski spisał wyrazy w guberniach wielkorosyjskich używane, a zbliżone brzmieniem i znaczeniem do polskich; rozbiiera też i objaśnia nasz psalterz królowej Małgorzaty pod względem filologicznym. Mikucki ziomek nasz spisał język myśliwych.

Inni słowniki prowincjonalne układają. Badają w pomnikach starodawnej literatury, w kronikach, w aktach, w żywotach świętych. Taką pracę rozumiemy. Takie dopiero materyały i w taki sposób zebrane, dadzą słownik całości, nie części. Nie dopełnia się słownik akademii rossyjskiej, ale nowy zupełnie się tworzy. My mamy bardzo piękny pomnik w Lindem. Jeżeli w cesarstwie Rosyjskiem słownik akademii uznają za niedostateczny, my śmiało Lindego możemy brać za podstawę i na niej budować, ale nim gmacz stanie, potrzeba i robotników i długich lat pracy. Te dodatki jakie wydawcy do Lindego dorzucają, będą wyglądały jako prawdziwe dodatki, niby to na gotyckiem sklepieniu jaki esik, floresik, niby to okienko nowe. Nowy gzyms przydany, ale budowniczy nie zważył czy to okno, ten gzyms przydadzą co wdzięku i wartości budowli starej.

Rozmaitość.

* **Korespondencya z Krakowa.** (Dokonczenie). Innych krakowskich malarzy, te będiem widzieli prace: Obraz Wojciecha Stattlera dawny: *Machabeusz*, *Wojnarowski*: wnetrze kapicy św. Krzyża w Krakowie. *Kogena* Bard na lirze grający. *Gąsiorowski*: Śmierć Żółkiewskiego. *Świerzyński* dwa obrazki olejne z Pana Tadeusza, Portret żony naturalnej wielkości, dwa widoki ogrodu hr. Dzieduszyckiego w Krakowie.

Pani *Borowskiej z Skorupków* wizerunek własny, męża jej i obraz Matki Boskiej. Krakowianie bawiący za granicą ponadsyłali także prace swoje. *Feliks Szynalewski* z Wiednia, przysłał obraz Matki Boskiej nad którym lat kilka pracował, wykończony w szczegółach, pełen prostoty i niezwykłego wdzięku. *Kazimierz Mirecki* przysłał z Wenecyi trzy obrazy, piękny wizerunek św. Eufrozyny, nader zajmują y obraz: Kochankowie na balkonie wysuniętym nad kanałem w Wenecyi i większy obraz: Bard opiewający synowi dzieje ojca jego, i jego czyny wojenne przeciw Turkom. Tło obrazu stanowi niby we mgle, niby przez gazę ukazujący się epizod z pogromu Turków przez Jana III. Obraz ten był na wystawie w roku 1854 w Wenecyi, i Sprawozdawca z tej wystawy w feuletynie czasopisma wiedeńskiego „Lloyd,” dosyć obszernie o nim się rospisuje, jako jedynym w tym rodzaju który się na tej wystawie odznaczył. O tymże obrazie wspomina nieco korespondent z Wenecyi do „Czasu” N. 208 r. b

Leon Dembowski przysłał z Wiednia trzy Krajobrazy: Gopło, Zakopana, Pieskowa Skała. *Lorenowicz* udzielił: Napad Tatarów.—Prócz tych dzieł mają nadejść obrazy Brodowskiego, i akwarele Kosaka.

Jak okazuje się z powyższego spisu nie będzie malarstwo polskie obficie i godnie reprezentowanem. Czyja w tem wina? Czy niemożna było troskliwiej zakrzętnąć się, aby uprosić słynniejszych malarzy, iżby pierwszą wystawę raczyli zaszczyścić znamenitemi pracami swojemi? Czy nie było sposobu nakłonienia wielu do czynnego współudziału? Stowarzyszenie wydało odezwę i na tem poprzestało, zamiast pismami zachęcać, przemawiać do patriotyzmu, zagrzewać do obudzenia żywego interesu.

Nie jestem malarzem ani rzeźbiarzem i z artystami tymi nie mam styczności, dla tego nie potrafię wymienić malarzy polskich dzisiejszych, którzy powinni byli uczestniczyć w tak ważnym akcie, jakim będzie pierwsza wystawa Krakowska. O nie jednak jednym z nich niektórych malarzy wymienić bym potrafił, przypominam sobie, iż tych malarzy prace nie będą przedstawione: jako to: Łąski J. Michałowski Piotr, słynny malarz koni, Paszkowski członek dyrekcji Kunstvereinu, Wysocki, Adam Gorczyński pejzażysta, Sztattler Wojciech (prócz znanych Machabeuszów) Bizański, Płonezyński i Tysiewicz, malarz znanej Magdaleny, bawiący obecnie w Lwowie. Być może, iż ci artyści, mimo że termin wystawy tak bliski, udzielą jeszcze co z prac swoich, jeżeli do nich stosowne kroki poczynione zostaną, bo wszyscy są malarzami krakowskimi lub zamieszkującymi tutaj.

Z malarzy lwowskich i warszawskich dzisiejszych nie napotykamy mnóstwa nazwisk, z których przytoczymy celniejsze o ile nam pamięć ich dochowała, jako to: Rodakowski, Tępa (akwarelista), Rujchan, Szlegel Kornel, Medwey August, Lesser, Marszałkiewicz, Kaniewski Ksawery, Breslauer, Zalewski, Hadziewicz, panna Szymanowska, Gerson, Smokowski, Fajans (portrecista). Podobnie nie natrafiamy na prace mężów w innych stronach kraju rozrzuconych, jako to: Raczynski, Tyc, Machold, (prof w Wiedniu galicyanin), Kapliński Leon, w Paryżu, Kulesza, Wilczyński, Kraszewski na Litwie i Podolu, Kwiatkowski w Paryżu, Pilatti malarz koni w Rzymie, Roratyński słynny malarz w Florencyi, Nowotny malarz religijny w Rzymie, Brzozowski malarz religijny i Schoupe z Warszawy, adto sztycharze: Le-

wicki, Oleszczyński Antoni, rzeźbiarze: Oleszyński Władysław, Sztattler Henryk, Cengler, Sosnowski, Rogoziński i t. d.

Przychodzą nam także na myśl Majeranowski krakowianin, S. hr. Mielżyński. Strzegocki i t. p. Podczaszyński (rysownik) i t. d.

Wymieniliśmy za jednym pociągiem pióra pięćdziesięciu nam znanych artystów, a to ledwie jest ich cząsteczka. Niektóre miasta, jak np. Lwów, zdaje się, że wcale nie będą reprezentowane, a szkoda, bo tam są utalentowani mężowie, którzy powinni byli dać się poznać, i poddać rozważnej krytyce znawców. Wystawa jednak ma być trwałą, tuszmy zatem sobie, że jeszcze może niejeden z artystów, pospieszy przedstawić owoce prac swoich, bądź przed otwarciem, bądź w ciągu otwarcia wystawy.

Streicher

* **Wystawa dzieci w Ameryce.** Ostatnia wielka wystawa dzieci odbyła się dnia 5go października w Springfield w państwie Ohio, niedaleko Cincinnati. Plakatem olbrzymim zajmującym do 40 stóp kwadratowych zaproszono wszystkich posiadaczy dzieci na tę wystawę. Plakat ten był następnego treści: „*Wielki zbiór narodowy niemowląt.*” Niemowlęta, zostające jeszcze u piersi z całych Stanów Zjednoczonych zapraszamy, aby raczyły z swemi rodzicami przybyć dnia 5go października, na wielki plac towarzystwa rolniczego okręgu Clarke. Starania dołożono, aby wszelkie tam wygody znalazły. Rozbity będzie ogromny namiot, mogący objąć 10000 ludzi. Spodziewamy się iż to będzie największy zbiór dzieci, jaki dotąd widziano. Komitet składający się z dam i mężczyzn, przeznaczać będzie nagrody dla trojga dzieci, które za najzdrowsze i najsilniejsze uzna. O te nagrody każdy ubiegać się może; jedyne warunki są aby dziecię urodzone było w Stanach Zjednoczonych i dwu lat nieprzekroczyło. Przestrzegamy będzie najściślejszy porządek, aby w niczem nie naruszona przyzwoitości. Będzie osobna policya, z stu osób składająca się, która każdego uwięzi, ktoby przyzwoitości w czemkolwiek ubliżył. Żadna dama obawiać się niepotrzebuje by najmniejszej nieprzyjemności. Spodziewamy się iż jak najwięcej zbierze się dzieci, tak iż najwspanialszą ujrzymy wystawę pączków rozwijających się, piękniejszą od jakiegokolwiek wystawy kwiatów.” Następują podpisy.

Sto dwadzieścia malców zebrało się w Springfield. Był to właśnie dzień jarmarku. Najpierwej odbyła się wystawa rolnicza bydła i narzędzi rolniczych. Potem 12 mężczyzn i 12 dam zasiadło jako komitet wystawy dzieci. Pierwszą nagrodę otrzymała córka dziesięcioletnia Williama Rower, serwis srebrny, drugą nagrodę srebrny półmisek chłopiec z Hamiltonu, trzecią nagrodę mniejszy półmisek srebrny, córka pana Canne z Filadelfii. Lecz publiczność nie zgadzała się z tym wyrokiem, uznając córkę pana Howe z Cincinnati za najpiękniejszą dziecię. Poczęto więc okazywać swe nieukontentowanie, aż jeden z obecnych, uznając słuszność zdania publiczności, w imieniu ludu ofiarował nagrodę sam tej pięknej dziecinie, srebrny dosyć duży krucyfiks, poczem dopiero wszystkie się uspokoiłi. Po tej wystawie nastąpiły gonitwy dam na koniu. Pierwsza nagroda była siodło, uzdeczka i spierut, druga srebrny puchar, trzecia srebrne-ostrog.

* Po długich próbach i doświadczeniach rozkazał francuski minister wojny, aby w całej francuskiej armii przyjęto nową metodę ujeżdżania koni, której wynalazcą jest kobieta, madame Isabelle. Wy stawić sobie więc można, jak długo komisya wojskowa temu opierała się, i nie chciała przyjąć dla armii metody przez kobietę wynalezionę. Lecz w końcu nadzwyczajne korzyści tego wynalazku przemożły wszelkie niechęci i znać musiano, co na uznanie zasługiwało.

Znaczenie poprzednich szarad: 1. Pisanie. 2. Myśliwy.

Przyjechali od dnia 24. do 26. Listopada do Lwowa.

PP. Cielecki Ferdynand, z Byczkowic. Miliński Franciszek, ze Skażatu. Michalewski Antoni, z Niedzielisk. Pierzechała Ignacy z Uszkowic. Dzieduszycki Kazimierz, hr. z Niesuchowa. Wiśniewski Wiktor, ze Strzelisk. Golejewski Kornel hr., z Krzywiec. Jakubowicz Józef, z Kurzan.

PP. Urbański Rudolf, z Dobrosina. Kuczyński Leon, z Lubowa. Udrycki Adolf, z Choronowa. Dzieduszycki Juliusz hr., z Jarezowiec.

PP. Antoniewicz Wincenty, ze Skwarzawy. Czermiński Ludwik, z Gródka. Chwalibóg Jan, z Lipowiec. Leszczyński Jan, z Łucznan. Czaykowski Jan, z Kamionki wołoskiej. Kozaryn Ignacy, z Ulicka. Korzeniowski Aleksander, z Machnowa. Pohorecki Kajetan, z Horpina. Hohendorf Eustachy i Kalikst, z Gródka.

Wyjechali od dnia 24. do 23. listopada ze Lwowa:

PP. Stańkiewicz Kaetan, do Nadyb. Wetkiewicz Stanisław, do Janowa Krzystałowicz Jan, do Żabna Janko Henryk, do Hoszan. Koziebrodzki Feliks, do Krakowa. Podlewski Apolinary, do Stanisławowa, Żurowski Antoni, do Zóplwi.

PP. Pavgert Antoni, do Złoczowa. Wajdowski Maksymilian, do Brzezowa. Mirzviński Rafael, do Baryłowa. Rudkiewicz Seweryn, do Łukowic. Nowakowski Stanisław, do Sokala. Tretter Konstanty do Łoniego. Szczepański Władysław, do Stanisławowa.

PP. Niezabitowski Napoleon, do Nakła. Lenkiewicz Innocenty, do Przemyśla. Golejowski Karol, hr. do Krzywiec. Janiszewski Ignacy, do Żurawna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 27 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów	122
Augsburg za 100 zlr.	125 1/2	Paryż za 300 franków	145
Bukareszt	—	Agio dnk. ces.	—
Frankfurt za 120 zlr. podług	—	Srebra agio	—
24 1/2 stopy	—	Pożyczka 5% 83 3/16 4 1/2	—
Genua	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco	91 1/2	Akcyje banku	—
Konstantynopol	—	Kolej północna	1790
Liwurno	—	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl., 12 3	—	Nowa pożyczka z loteryą	97 1/8
Marsylia	—	Pożyczka narodowa	87 1/16

Dzisiejszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	zlr. 5 kr. 45	zlr. 5 kr. 48
Dukat cesarski	5 " 51 "	5 " 55
Półimperyal zł. rosyjski	10 " 6 "	10 " 8
Rubel srebrny rosyjski	1 " 56 "	1 " 57
Talar pruski	1 " 49 "	1 " 52
Polski kurant i pięciozłotówka	1 " 25 "	1 " 26
Galicyskie listy zastawne za 100 zlr. bez kuponu	86 " 10 "	86 " 30
Obligacye, indemnizacyjne 74. 12. do 74 zlr. 30 kr.		

(188. 2—2.)

Bei **Joh. Milikowski** in Lemberg,

Stanisławów und Tarnów, so wie bei **Gebrüder Jeleń** in Przemyśl ist zu haben:

Neue Auflage von Haimers Darstellung der Jurisdictionsnormen.

V e r s u c h

einer kurzen geordneten Darstellung

der

neuen Kompetenz-Vorschriften

(Jurisdiktionsnormen)

für das civilgerichtliche Verfahren in Oesterreich.

v o n

Dr. Franz Haimerl,

k. k. Professor der Rechte an der Wiener Universität.

Zweite vermehrte und verbesserte Auflage.

gr. 8. brosch. Preis 1 fl. 40 kr. C. M.

Dieses Buch hat gleich bei seinem Erscheinen eine so beifällige Aufnahme gefunden, dass binnen einigen Monaten diese neue Auflage nothwendig wurde.

Commentar zur neuen Pharmacopöe.

COMMENTAR

zur neuen

österreichischen Pharmacopöe.

Mit steter Hinweisung auf die bisher geltigen Vorschriften der Pharmacopöe vom Jahre 1834

nach dem

gegenwärtigen Standpunkte der darauf Bezug habenden Wissenschaften

bearbeitet von

Dr. F. C. Schneider,

k. k. Professor.

I. Bandes, I. Hälfte, gr. 8. eleg. geh. Preis 2 fl 48 kr. CM.

Dieses für **sämmtliche Apotheker, Sanitätsbeamten, praktische Aerzte, Wund- und Geburtsärzte, Thierärzte etc.** gleich wichtige Werk enthält nebst einer Uebersetzung der sämmtlichen Recepte eine genaue Beschreibung des Verfahrens, wie nach der Vorschrift der Pharmacopöe die Arzneikörper dargestellt werden, ist wo nöthig, durch Holzschnitte erläutert, die übrigen vorzüglicheren Darstellungsmethoden, namentlich jene, welche von den verschiedenen Landespharmacopöen vorgeschrieben werden, und die, welche bei der fabriksmäßigen Erzeugung in Anwendung kommen, sind damit verglichen, nach ihren theoretischen Prinzipien erörtert, und nach ihren praktischen und ökonomischen Vortheilen gewürdigt, so dass auch der Erzeuger chemischer Präparate manche belehrende Winke finden wird.

Der ersten so eben erschienenen Lieferung sind **sämmtliche in der ämtlichen Ausgabe der Pharmacopöe enthaltenen Tabellen sammt vollständigem Inhalt beigegeben.**

Das ganze Werk erscheint circa 70—80 Bogen stark in zwei Bänden, deren jeder in 2 Lieferungen ausgegeben wird. Die Vollen- dung des Ganzen wird bis Ende Februar 1855 zugesichert.

Friedrich Manz in Wien.